

SŁOWO POLSKIE
Wrocław ul. Podwałe Nr 62

wydanie

1 4 0

25 -06-80

Nr 7 dn



Wierna adaptacja

Jeśli ktoś jest bardzo leniwy, a chce poznać treść „Biesów” niechże czym prędzej wybierze się do Teatru Współczesnego. Wszyskim innym polecam jednak lekturę książki Dostojewskiego.

Jest to bowiem adaptacja sceniczna — jak się to mawia — zrobiona poprawnie. Zachowuje wszystkie najważniejsze postacie i wątki, logicznie, od sceny do sceny opowiada o pogmatwanych losach bohaterów i ich wzajemnych odniesieniach. Ktoś, kto „Biesów” nie zna doskonale zorientuje się więc w fabularnych perypetiach. Na wprowadzenie w owe intryki potrzebny jest adaptatorowi cały, trwający ponad godzinę, akt pierwszy. Potem, zupełnie zresztą niepotrzebna postać określona jako Narrator, a po prawdzie spełniająca funkcje konferansjera — zapowiadacza obwieszcza, że wszystko potoczy się żywawiej. I toczy jeszcze przez dwie z górą godziny. Adaptacja Józefa Grudy zachowując wszystko, co dla brykowo streszczonej akcji najważniejsze, zatracca coś znacznie cenniejszego — atmosferę Dostojewskiego. W tej wersji „Biesy” są splaszczony niemal do wymiarów dramatu mieszczańskiego.

A skoro weszliśmy już w problemy realizacji scenicznej. Przedstawienie jest stanowczo zbyt długie, w ogóle należałoby karać twórców spektakli trwających ponad dwie i pół godziny, chyba, że odznaczają się — spektakle nie twórcy — wyjątkową urodą. Niepotrzebnie i niekonsekwentnie prowadzony jest Narrator. Jeśli już adaptator się uparł, reżyser mógł jego funkcję przerzucić na przykład na któregoś ze studentów. A tu Stanisław Banasiuk snuje się jak duch, choć chwilami na wzrokowy kontakt z partnerami. Reżyser Józef Gruda ma więcej „grzechów” na sumieniu. Doświadczony twórca wiedzieć powinien na przykład, że zoporowane światła i monologi w punktówkach nie tworzą

jeszcze „klimatu”. Zupełnie fałszywie inscenizacyjnie zinterpretowano — kluczową chyba dla koncepcji Grudy scenę balu, o którym mówi się od pierwszej kwestii. Brak jest wreszcie jednolitej konwencji w warstwie wykonawczej. Każdy proponuje, co chce i potrafi.

Halina Rasiakówna na przykład jest aktorką utalentowaną, a Maria Lebiadkina rolę efektowną, a przecież mówić można zaledwie o próbie propozycji. Podobnie z uzdolnionym Danielem Kustosikiem, który w Stawroginie głównie obnosi swe znakomite warunki zewnętrzne. Wolę to jednak od taniej diaboliczności i wrzaskliwości Tadeusza Galii, a na tych dwu elementach oparł on swego Piotra Wierchowienieńskiego. Nie zachwycił tym razem ani Eugeniusz Kujawski (Stiepan Wierchowienieński), ani Marlena Milwiw (Barbara Stawrogin), której w paru scenach zdarzyły się kikszy niewyeliminowane przez reżyserską interwencję. Niedostatecznie zróżnicowano Daszę (Halina Skoczyńska-Rakowska) i Lizę (Grażyna Korin). Na scenie chyba z dwie trzecie ansamblu Teatru Współczesnego, trudno więc wszystkich wymienić, warto przecież zwrócić uwagę na Fiedkę Zdzisława Kuźniara.

W scenografii Ali Bunscha podobają mi się metoda „szuflad”, ale grać w tej dekoracji można wiele innych utworów, niekoniecznie Dostojewskiego. Muzyka Zbigniewa Karneckiego nie została chyba w pełni wykorzystana.

W pamięci pozostaje więc głównie chichot w różnych tonacjach, na chichocie bowiem budował Józef Gruda przedstawienie o ludziach nieszczęśliwych, bo jakoś tam wewnętrznie skrzywionych.

BOGDAN BĄK

Teatr Współczesny we Wrocławiu. Fiodor Dostojewski „Biesy”. Przekład Tadeusz Zagórski. Adaptacja i reżyseria Józef Gruda. Scenografia Ali Bunsch. Muzyka Zbigniew Karnecki. Choreografia Henryk Sawicki. Premiera czerwiec 1980.